

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

**PRZEMÓWIENIE WSTĘPNE NA
VI OGÓLNOPOLSKIM ZJEŹDZIE SOCJOLOGICZNYM
(ŁÓDŹ, 9.IX.1981)**

Prawdopodobnie żaden z dotychczasowych Ogólnopolskich Zjazdów Socjologicznych nie trafiał tak dokładnie w sedno spraw, którymi nasza dyscyplina powinna się zajmować, jak obecny VI Zjazd. Ale też nigdy brzemie odpowiedzialności, jakie powinniśmy, albo musimy, wziąć na siebie, nie było tak wielkie, jak dzisiaj.

Po wieloletnich doświadczeniach, nagromadzonych nie tylko przez polską socjologię, lecz także przez socjologię w innych krajach, w których jej status wydaje się być korzystniejszy niż u nas, nie możemy żywić złudzeń co do nadzwyczajnej skuteczności naszych diagnoz i zaleceń, podsuwanych czy to opinii publicznej, czy też najszerszej rozumianej władzy. Tym niemniej wspomagani przez inne dyscypliny społeczne i ze swej strony sami je wspomagając, moglibyśmy – być może – stworzyć coś w rodzaju samodzielnej i niezależnej siły intelektualnej, służącej narodowi i państwu jako tzw. zbiorowy ekspert i doradca, a nawet – gdyby zaszła taka potrzeba – jako bezstronny rozjemca. Tym co w związku z naszym Zjazdem może nas martwić jest właśnie fakt stosunkowo słabego odzewu, z jakim spotkał się w środowiskach bliskich nam i spokrewnionych z nami dyscyplin. Nie jest to oczywiście strata nie do odrobienia, zważywszy, że obecny Zjazd ma wszelkie dane po temu, aby nie tylko w formie sloganowo-obrzędowej – jak się to jeszcze niedawno z okazji tego typu zgromadzeń czyniło – obwieścić początek nowej ery w rozwoju polskiej socjologii.

Jednym ze znamion takiej, ze wszech miar pożądanej, odmiany musiało być spełnienie wreszcie, niemal od chwili usamodzielnienia się socjologii zgłaszanego postulatu, nawiązania ścisłej współpracy z przedstawicielami sąsiednich dyscyplin.

Problematyka, która – moim zdaniem – szczególnie nadaje się do tego, aby skupić wokół niej zainteresowanie badaczy specjalizujących się w różnych

dziedzinach nauk społecznych, to kompleks zagadnień skrótowo określanych mianem kultury politycznej społeczeństwa. Jest to temat nie tylko poznawczo niezwykle frapujący, lecz właśnie obecnie posiadający decydujące znaczenie dla najbliższej i odległej przyszłości tego kraju. Chodzi w nim bowiem o znalezienie syntetycznej odpowiedzi na pytanie: kim właściwie jesteśmy i czego sami po sobie, a także czego inne narody mogą się po nas spodziewać?

Niespokojne, brzemienne w rozstrzygnięcia o historycznym zaiste wymiarze, czasy w jakich żyjemy, pozwalają lepiej i dokładniej aniżeli w okresach „normalnego”, ustabilizowanego życia dostrzec i ocenić pewne osobliwości w zachowaniach politycznych Polaków. Socjologom nie było dane podjęcie systematycznych badań lub chociażby podzielenie się ogólnymi refleksjami nad właściwościami postaw politycznych naszych rodaków w związku z buntem robotników poznańskich w czerwcu 1956 r. oraz zaburzeniami na Wybrzeżu z grudnia 1970 r., gdyż ówczesne władze nie wyraziły na to zgody. Straciliśmy wskutek tego szansę przeprowadzenia analizy porównawczej i raczej intuicyjnie możemy, w oparciu o doświadczenia kolejnych kryzysów, orzekać o tym, jakimi szczególnymi cechami charakteryzuje się kultura polityczna społeczeństwa polskiego.

Bez pomocy i wsparcia historyków, którzy – nawiasem mówiąc – ten problem kompletnie zaniedbali, o czym świadczą nawet niepełnozdatniowe wzmianki, jakie w dwóch skądinąd wysoko ocenionych podręcznikach poświęcili Poznaniowi 56' i Wybrzeżu 70' – nie jesteśmy już w stanie samodzielnie uporać się z tym tematem.

Do podstawowych komponentów kultury politycznej należy – jak wiadomo – stosunek obywateli do państwa i władzy państwowej.

Stało się już poniekąd truizmem twierdzenie, że przeciętny Polak odmiennie, niż skłonne są to czynić inne nowoczesne nacje, wartościuje pojęcia „naród” i „państwo”. Podczas gdy tak zwane narody państwowe upatrują źródła swojej tożsamości w tym właśnie, że posiadają swoje własne państwo i nie wyobrażają sobie swojej egzystencji inaczej jak tylko w formie społeczności państwowej, to Polacy wyraźnie odróżniają od siebie obydwie te byty. Narodowi jako formie istnienia przypisują znacznie większe znaczenie i wyznaczają wyższą rangę w systemie cenionych przez siebie wartości, aniżeli państwu. Przyczyn takiego nastawienia należy – tak sędzę – doszukiwać się w dziedzictwie historycznym okresu rozbiorów, kiedy to najważniejszym przykazaniem Polaków było zachowanie języka i wiary ojców jako głównych wyznaczników przynależności narodowej. Wartości te musiały być, pod groźbą zarzutu o zaprzaństwo narodowe respektowane przez wszystkie odłamy społeczeństwa polskiego, niezależnie od tego, co każdy z nich sądził o realności wizji powstawania niepodległego państwa, czyli że traktowane były jako w gruncie rzeczy samoistne.

W tym samym czasie, kiedy ideę odrębności narodowej niemal że sakralizowano, przypominając, że co dzień Polak narodowi służy i że o Polsce, jak o matce, nigdy nie mówi się źle, o państwie, jako że było to państwo zaborcze, ciemieżycielskie, można było mówić nawet najgorsze rzeczy, nie wywołując na ogół zgorszenia nawet lojalistycznie usposobionych rodaków. Co więcej, szkoderstwo temu państwu, sabotowanie jego zarządzeń i wyszydzanie go uchodziło za obowiązki patriotyczne.

Tego rodzaju arogancka i nieufna postawa wobec państwa stała się poniekąd rysem obyczajowym, który bynajmniej nie zaniknął automatycznie z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości. Po krótkim okresie euforii, jaką wywołało „zmartwychwstanie” – jak się wówczas mówiło – Polski, nadszedł czas zwyczajnego, powszedniego obcowania z państwem, które okazało się biednym, zacofanym, znękanym strukturalnym bezrobociem, pod względem geopolitycznym ukształtowanym nad wyraz niekorzystnie, z niezwykle skomplikowaną strukturą etniczną i wyznaniową – państwem, któremu nie wróżono długiego, a już na pewno nie łatwego żywota. Rzeczywistość ojczyzestego kraju rozczarowała masy ludowe, które nie szczędziły mu gorzkich wyrzutów i surowej nagany.

Ubolewali nad tym przywódcy „sanacji”, którzy daremnie usiłowali krzewić w społeczeństwie kult państwa. W końcu, za sprawą Józefa Piłsudskiego, Sławoja-Składkowskiego i innych, zaczęto upowszechniać tezę o niewdzięczności narodu polskiego wobec jego dobroczyńców, którzy wywalczyli dla niego niezależny byt państwowy oraz o tym, że jest to rzekomo naród wyjątkowo trudny do rządzenia.

Kłęska wrześnie i ucieczka rządu pogłębiły w społeczeństwie przekonanie, że Polska była źle rządzona, że to nie naród, lecz władze państwowe nie dorosły do wymagań historii. W okresie okupacji, w obliczu grożącej mu biologicznej zagłady naród jak gdyby w wielkim skrócie przeżył ponownie doświadczenia epoki rozbiorów. Bezparadonowa, rozpaczliwa walka z najeźdźcą i jego państwem znów stała się świętym, patriotycznym obowiązkiem Polaków i tak jak dawniej znów wierzone, że odrodzone państwo polskie będzie o niebo doskonalsze od swoich poprzednich wcieleń.

W pewnych okresach powojennych dziejów Polski Ludowej, w szczególności po październiku 1956 i grudniu 1970 r., kiedy podejmowano dzieło naprawy socjalizmu i rugowania z życia państwowego najbardziej jaskrawych deformacji i wynaturzeń, można było żywić nadzieję, że te oczekiwania zostaną nareszcie spełnione. Tak się niestety nie stało i dlatego dziś – po tylu przykrych doświadczeniach – nieufność wobec państwa i jego władzy musiała skumulować się w czymś, co można by nazwać kompleksem nieufności i podejrzliwości. Przejawia się ów kompleks w tym,

że społeczeństwo do tego stopnia odmawia wiarygodności władzy państwowej, że wszelkie odpowiadające oczekiwaniom społecznym posunięcia ze strony rządu traktuje *a priori* nie jako akty dobrej woli, lecz jako wymuszone na nim ustępstwa. Zważywszy, że to domniemanie w nader licznych wypadkach znajdowało bezsporne potwierdzenie w praktyce działania władzy, to znaczy w jej nieudolności, opieszałości lub w próbach torpedowania reform, trudno zaiste dziwić się, że podział na „my” – społeczeństwo i „wy” – rządzący, ale także „my” – naród i „wy” – państwo, przyjął tak beznadziejnie uporczywy charakter. Nie dziw też, że w kręgach ludzi sprawujących władzę w centralnych organach państwowych, w których w ostatnich miesiącach nastąpiły daleko idące zmiany w składzie personalnym i w stylu działania, pojawia się już za czasów anarchii szlacheckiej zrodzone, a później przez hr. Wielopolskiego, Piłsudskiego i Gomułkę powtarzane twierdzenie, że Polacy są narodem nadzwyczaj trudnym do rządzenia.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że w tej supozycji tkwi jakiś łut prawdy, faktycznie zaś jest to wygodne z punktu widzenia rządzących usprawiedliwienie ich bezradności w obliczu być może nawet nie zawsze zawinionego tylko przez nich konfliktu, jaki zaistniał między władzą a społeczeństwem. Toteż od dawna, odkąd zacząłem zajmować się problematyką kultury politycznej społeczeństwa, a był to chyba rok 1964, uporczywie polemizowałem z tendencją do dzielenia narodów na trudne i łatwe do rządzenia. Nie mając w tej chwili możliwości szerszego rozwinięcia tego tematu, ograniczając się tylko do wskazania na poznawczą jałowość i praktyczną nieprzydatność ewentualnego przyjęcia takiego podziału. Otóż w ślad za rozróżnieniem narodów łatwych i trudnych do rządzenia należałoby możliwie jednoznacznie określić, które z nich są lepsze, a które gorsze, w przeciwnym razie nie miałoby najmniejszego sensu stawianie pierwszego pytania. Wiadomo zaś, że dzielenie narodów na gorsze i lepsze jest właściwością teorii skrajnie nacjonalistycznych lub wręcz rasistowskich, których żaden rozsądny i uczciwy człowiek nie zechce zaaprobować.

Ale nawet gdyby pominąć implikacje światopoglądowe i ideologiczne tkwiące w rozróżnieniu narodów trudnych i łatwych i ograniczyć się do nader praktycznego pytania: jakim narodem wolelibyśmy być, albo jakim korzystniej jest być? – to i wówczas odpowiedź musi być bałamutna. Na przykład o narodzie niemieckim sądzi się dość powszechnie, że w przeciwieństwie do Polaków, Francuzów i Włochów jest wyjątkowo łatwy do rządzenia, bo jest zdyscyplinowany i tę cechę raz przypisuje mu się jako cnotę, innym razem jako straszliwą ułomność. Albowiem dzięki „wrodzonej” dyscyplinie Niemcy stworzyli „cud gospodarczy”, ale ta sama właściwość ich charakteru narodowego sprawiła, że

bez sprzeciwu przyjęli jarzmo hitleryzmu i z fanatycznym oddaniem służyli jego zbrodniczemu celom.

Zamiast więc zaprzętać sobie głowę bezpłodnymi – jak widzieliśmy – rozważaniami na temat narodów łatwych i trudnych do rządzenia, ustalmy, że są narody po prostu lepiej lub gorzej rządzone. Osobliwością historycznie zdeterminowanej polskiej kultury politycznej jest m. in. przez tradycję nam przekazane przywiązanie do demokratycznych form rządzenia oraz skłonność do traktowania państwa nie jako wartości samoistnej, lecz jako instytucji służebnej wobec narodu, spełniającej funkcje opiekuńcze wobec obywateli. Inaczej mówiąc: dobrze rządzić Polakami – znaczy rządzić demokratycznie, a więc nie uszczęśliwiać ich wbrew ich woli, lecz w maksymalnym stopniu zapewnić im możliwość współdecydowania o wszystkich obchodzących ich sprawach.

Jeśli przyjmie się taki właśnie punkt widzenia, to jasnym i oczywistym się stanie, że jedynym wyjściem z kryzysu, jaki gnębi nasz kraj, jest uporczywe trzymanie się linii porozumienia społecznego, polegającej na tym, że władza w sprawie demokratyzacji struktur społecznych nie upiera się stanowczo przy swoim stanowisku wówczas, kiedy dysponuje przemawiającymi za jego słusnością bezspornymi racjami. W tym kontekście pojęcie „bezspornej racji” ma zresztą charakter względny. Skoro mianowicie społeczeństwo odmawia władzy wiarygodności, to nie ma dla niej innej drogi do pozyskania sobie jego zaufania i poparcia, czyli stworzenia sobie w ten sposób niezbędnych warunków dla efektywnego sprawowania rządów, jak tylko umożliwienie temu społeczeństwu podjęcia działań, o których na własnym doświadczeniu, prędzej czy później, przekona się ono czy były słuszne, czy fałszywe. Obowiązkiem władzy jest w takim wypadku jedynie ostrzeżenie społeczeństwa, nawet – jeśli zachodzi taka konieczność – w formie alarmistycznej, przed zgubnymi, nie tylko dla państwa, lecz również czy przede wszystkim dla niego samego, rezultatami owych działań. Jest rzeczą skądinąd niepojętą, że władza, która przez tyle lat, pod pozorem uprawiania planowej polityki ekonomicznej i socjalnej, faktycznie stosowała niezwykle kosztowną, woluntarystyczną metodę prób i błędów, nagle tak panicznie obawia się przyznania prawa do eksperymentów samorządnym organizacjom społecznym. Nie chodzi mi w tym zaleceniu o oportunistyczne unikanie konfliktów za wszelką cenę, a raczej o minimalizację społecznych kosztów i łagodzenie skutków do pewnego czasu po prostu nieuniknionych, bo wynikających z braku legitymizacji władzy, konfliktów.

Przeżywany przez nasz kraj kryzys uważa się powszechnie za szczególnie niebezpieczny z tego względu, że spowodowana przez niego niestabilność struktur społeczno-ekonomicznych i polityczno-ustrojowych może naruszyć ustalony po

II wojnie światowej układ sił w Europie i w Świecie. Polska, będąc największym po Związku Radzieckim państwem tzw. bloku wschodniego, stanowi – jak wiadomo – ważny element tzw. ładu jałtańskiego czy poczdamskiego, który przesądził o kształcie terytorialnym i sytuacji geopolitycznej państw na naszym kontynencie, zapewniając im – jak dotychczas – warunki pokojowego rozwoju. Z uwagi na swoje położenie oraz potencjał ludnościowy i wojskowy Polska, w zależności od tego, jak potoczą się wydarzenia w naszym kraju, może stać się czynnikiem utrwalającym odpowiadający większości narodów powojenny układ stosunków międzynarodowych, albo może nim zachwiać, wywołując tym samym skutki w swym tragizmie dla niej samej i pozostałych krajów trudne do wyobrażenia sobie i do przewidzenia.

Świadomość tego, że wydarzenia w Polsce mają wymiar międzynarodowy, to znaczy, że konflikty rozgrywane się wewnątrz naszego społeczeństwa mogą przerodzić się w kataklizm o zasięgu europejskim, a nawet światowym, w stosunkowo słabym stopniu oddziałuje na postawy polityczne naszych rodaków. Ostrzeżenia przed możliwością utraty przez Polskę jej suwerenności, w wypadku, jeśli nie opanuje własnymi siłami trapiącego kraj i stale pogłębiającego się kryzysu, traktuje się u nas często niczym przysłowiowe strachy na Lachy. Można w tym upatrywać jedną z właściwości kultury politycznej naszego społeczeństwa.

Chodzi mianowicie o skłonność Polaków do rozpatrywania związków między interesami i dążnościami obcych państw a własnymi państwowymi i narodowymi sprawami w sposób jednostronny i wysoce egocentryczny, przeważnie nadmiernie uczuciowy i nierzadko także arogancki czy buńczuczny. Zapewne wiele innych narodów w ten sam, a może nawet w jeszcze bardziej jaskrawy sposób pielęgnuje miłość własną, jednakże w kleszczowym położeniu, w jakim od wieków znajduje się Polska, myślenie o sobie w kategoriach narodu wybranego, którego „jakoś tam”, bez względu na straty i ofiary, oszczędzą burze dziejowe lub uratuje Opatrzność, musi okazać się na dłuższą metę wręcz samobójcze. Nawet dzieci uczymy w bajkach, że losu – niczym wilka z lasu – nie wolno zbyt często wywoływać...

Tymczasem do świadomości Polaków z trudem dociera prawda, że nigdy w historii nawet najpotężniejsze mocarstwa nie mogły obyć się bez sojuszników. Toteż sztuka zdobywania sobie sprzymierzeńców – w czym na przykład celowali Rzymianie – zwłaszcza przez małe i średniej wielkości narody, jest znamieniem ich wysokiej kultury politycznej, gdyż to właśnie w ostatecznym rachunku decyduje o ich istnieniu i szansach przetrwania. Elementem integralnym tej sztuki jest chęć i umiejętność wczucia się w sytuację partnera, zrozumienia jego interesów, rozpoznania motywów, jakimi kieruje się w swojej polityce, nawet jeśli jest to

polityka trudna do zaaprobowania oraz uszanowania aspiracji, które na miarę swoich sił i możliwości pragnie on zaspokoić.

Na przekór tym elementarnym regułom trzeźwej dyplomacji Polacy najwyżej cenili sobie w polityce wobec innych narodów gesty – czasem gesty wielkoduszności, a czasem nadętej pychy; lubili przybierać pozę wybawicieli, po czym boleśnie przeżywali zawód, że nikt ich w potrzebie, na zasadzie wzajemności, bezinteresownie nie chce zbawiać; szczylic się tym, że ich z tytułu bohaterstwa nazywano natchnieniem ludzkości, a potem oburzali się, kiedy okazywało się, że komplementy są jedynym świadczeniem, na jakie potrafią zdobyć się wobec nich ich sojusznicy – i to też tylko do czasu.

Po raz pierwszy w swoich dziejach dopiero po II wojnie światowej Polska znalazła się w położeniu, że wszystkie sąsiadujące z nią kraje są jej sojusznikami. W takiej sytuacji naród politycznie dojrzały potrafi przejść do porządku dziennego nad historycznie ukształtowanymi resentymentami wobec sprzymierzonych narodów i stara się w imię celów nadrzędnych stłumić w sobie, albo przynajmniej nie obnosić się ostentacyjnie ze wspomnieniami doznanych ongiś krzywd i niegodziwości, domagając się jedynie od partnera zajęcia podobnej postawy.

Otóż najbardziej deprymującym i zarazem groźnym zjawiskiem, które może wniwecz obrócić zdobycze procesu socjalistycznej odnowy, to szerzenie się w społeczeństwie nastawień antyradzieckich. Świadczy o tym, że znajdują się wśród nas ludzie, którzy całkowicie zatracili poczucie realizmu politycznego, a kto wie czy nie zgoła instynkt samozachowawczy. Dzieląc się tą obawą mam na myśli nie tylko inspiratorów i często wręcz głupawych wykonawców akcji plakatowej oraz bezczeszczenia pomników, lecz także propagandę masową, która na przekór mizernym rezultatom, jakie tego rodzaju chwytły dotychczas przynosiły, usiłując tłumić nastroje antyradzieckie przez sztuczne potęgowanie nastrojów antyniemieckich. Przypomina to przysłowiowe leczenie kataru syfilisem.

Na tle rozgardiaszu i opinii wypowiedzianych na temat polskich wydarzeń przez zagraniczne środki masowego przekazu, zdumiewa stoicki spokój i pewna niefrasobliwość, z jaką sami Polacy odnoszą się do zachodzących w kraju przeobrażeń. Wprawdzie bezustannie mówi się i u nas o pojawianiu się coraz to nowych zagrożeń, o realności apokaliptycznej wizji zbrojnej konfrontacji itd., rzadko jednak obawy, jakie nawiedzają społeczeństwo, przyjmują – jak to się często zdarza na Zachodzie – postać katastroficzną lub histeryczną.

Należałoby tylko cieszyć się z takiej postawy naszego społeczeństwa, gdyby istniała pewność, że zrozumie ono, iż lęk jest także normalnym ludzkim uczuciem, które trapi dziś większość narodów świata, a niestety dzień powszedni przynosi nam sporo dowodów na to, że w Polsce jest się czego obawiać.

Władysław Markiewicz

OPENING SPEECH

(Summary)

The unprecedented 6th Polish Sociological Congress tackled the most relevant and burning social problems. It bears witness to the formation of the political culture based on a dialogue between the authorities and society. The author of the article highlights the international aftermath of the social crisis in Poland and importance of a realistic view on international alliances.